

## *Rozdział trzydziesty siódmy*

Pogrzeb odbył się cztery dni później, w pogodny, słoneczny dzień, co po raz kolejny wydało mi się niestosowne. Miałam nadzieję na deszcz – poprzedni wieczór był chłodny i pochmurny, ale mimo to siedziałam na schodach werandy z psem, aż nogi mi całkiem zdrętwiały.

Nie mogłam przywyknąć do tego, jak pusty wydawał się teraz dom i jak nieobecność mojego ojca sprawiła, że żadne z nas nie wiedziało, co ma ze sobą zrobić. Warren po raz pierwszy, odkąd pamiętałam, nie był w stanie czytać. Spędzał całe dnie w centrum tenisowym, odbijając piłkę od ściany z całej siły, a potem wracał do domu zmęczony i apatyczny. Dziadek rzeźbił coś i zabierał psa na długie spacery. Kiedy wracał, miał czerwony nos, mówił zachrypniętym głosem, a pies był kompletnie wykończony. Gelsey od tamtego ranka nie chciała być sama, więc spędzałyśmy dużo czasu razem. Nie rozmawiałyśmy jeszcze o tym, co się stało, ale do jakiegoś stopnia pomagało mi to, że mogłam spojrzeć w przeciwny kąt pokoju i zobaczyć, że moja siostra tam jest – stanowiła żywy dowód na to, że nie tylko ja muszę sobie radzić. Mama całymi dniami zajmowała się sprawami organizacyjnymi – związanymi z nabożeństwem żałobnym, trumną, kwiatami – i sprawiała wrażenie, jakby znosiła to najlepiej z nas wszystkich. Ale kiedy któregoś dnia wcześniej

wyszłam na zewnątrz, zastałam ją na werandzie z włosami mokrymi po kąpieli. Płakała. Jakaś częśćka mnie wciąż pragnęła odwrócić się, żeby nie być zmuszoną sobie z tym radzić. Ale zmusiłam się, żeby podejść i usiąść koło niej na schodach. Nie rozmawiałyśmy, wzięłam tylko grzebień i rozczesywałam jej włosy w słońcu. Kiedy skończyłam i rzuciłam wyczesane włosy na wiatr, matka przestała płakać. Siedziałyśmy przez chwilę w milczeniu, dotykając się ramionami.

Maleńka kaplica w Lake Phoenix była pełna ludzi. Zamierzaliśmy urządzić większe nabożeństwo żałobne po powrocie do Connecticut, więc nie spodziewałam się, że tutaj przyjdzie aż tyle osób. Stałam przy pierwszej ławce, ubrana w pożyczoną od matki czarną sukienkę, i patrzyłam, jak wchodzi ludzie, którzy przyszli tu dla mojego ojca. Pojawili się Wendy, Fred i Jillian, a także Dave Henson, który sprzedawał mu zawsze lukrecję. Przyszła Lucy z matką, Angela z restauracji, Gardnerowie, wszyscy pracownicy z plaży – a Leland nawet miał gładko zaczesane włosy.

Pastor nie był zachwycony, kiedy dałam mu CD z mieszanką muzyczną, którą wybraliśmy. Przypuszczam, że było odrobinę niestandardowe – opera wymieszana z Jacksonem Browne'em, ale miałam przeczucie, że tata właśnie tego by chciał. Pastorowi nie podobał się także pies, ale dziadek oznajmił, że Murphy to jego pies-asystent, więc mógł teraz siedzieć pod pierwszą ławką, przy nodze dziadka, idealnie grzeczny.

W pierwszej ławce siedziała tylko rodzina – Gelsey w mojej starej czarnej sukience, Warren w garniturze, w którym o dziwo wyglądał na młodszego, niż był. Dziadek założył galowy mundur marynarki wojennej, co mogło być jednym z powodów, dla których pastor nie próbował się z nim wyklócać. Mama siedziała koło mnie, ściskając w ręku jedną z chusteczek ojca. Za-

uważyłam, że zostawiliśmy dodatkowe wolne miejsce, jakby on mógł do nas dołączyć, miał tylko trochę się spóźnić, bo musiał zaparkować samochód. Nie potrafiłam jakoś przyjąć do wiadomości, że ta nieruchoma postać w trumnie, otoczona kwiatami, to ma być on.

Pastor skinął głową mojej matce i zaczął nabożeństwo. Pozwalałam, żeby słowa spływały po mnie, nie słuchałam ich, nie chciałam słuchać o obracaniu się w proch, kiedy chodziło o mojego ojca. Kiedy pastor zakończył modlitwę, mój dziadek opowiedział o tym, jaki tata był w młodości i jak bardzo dziadek był z niego zawsze dumny. Moja mama powiedziała kilka słów, a ja przestałam powstrzymywać łzy. Warren przeczytał fragment poematu T.S. Eliota, który tata uwielbiał.

A chociaż nie planowałam niczego mówić – ani niczego nie przygotowałam – kiedy Warren wrócił na miejsce, wstałam i podeszłam prosto do pulpitu.

Popatrzyłam na zgromadzonych i zobaczyłam z tyłu Henry'ego. Był z Davym, ubrany w garnitur, którego nigdy nie widziałam, i nie odrywał ode mnie spojrzenia – spokojnego, dodającego otuchy i pewności siebie, której potrzebowałam, żeby zacząć mówić.

Patrząc na tych ludzi, uświadomiłam sobie, że nie panikuję. Dłonie mi się nie pocily. I nie zastanawiałam się nad tym, co mam powiedzieć. To było proste, to była tylko prawda.

– Zawsze kochałam tatę – powiedziałam głosem mocniejszym, niż się spodziewałam. – Ale właściwie poznałam go dopiero tego lata. Uświadomiłam sobie, jak wiele zdążył mnie nauczyć przez cały ten czas. – Odetchnęłam głęboko, nie dlatego, że się denerwowałam, ale dlatego, że czułam łzy napływające do oczu, a chciałam najpierw skończyć mówić. – Na przykład tego, jak ważne są kiepskie żarty słowne. – Ludzie roześmiali

się, a ja poczułam, że odrobinę się uspokajam. – I tego, że zawsze jest odpowiednia pora na lody, nawet tuż przed obiadem. – Przełknęłam ślinę. – Ale przede wszystkim w te wakacje nauczył mnie bardzo wiele o odwadze. Był niezwykle odważny wobec tego, z czym sam musiał się zmierzyć. Nie uciekał przed tym. I był na tyle odważny, żeby przyznać, że się boi. – Przetarłam oczy grzbietem dłoni i odetchnęłam z trudem, starając się skończyć myśl. – Cieszę się, że mogłam spędzić z nim ten czas, nawet jeśli... – Oddech uwiązł mi w gardle, a zgromadzeni goście zaczęli mi się rozmazywać przed oczami. – Nawet jeśli to było za krótko – dokończyłam. – Nawet jeśli to było o wiele za krótko.

Na wpół oślepiona przez łzy, wróciłam prawie po omacku na swoje miejsce. Pastor znowu przemawiał, a z głośników śpiewał Jackson Browne. Ku mojemu zdziwieniu to Warren przytulił mnie mocno i pozwolił mi się wypłakać na swoim ramieniu.

Potem uroczystość zaczęła zmierzać do końca – pozostało zaproszenie gości na poczęstunek u nas w domu i ostatnie pożegnanie zmarłego. Ja zostałam na miejscu, z Murphym na kolanach, ponieważ czułam, że już pożegnałam się z tatą, wtedy, pod gwiazdami. Zauważyłam jednak, że kiedy mój dziadek podszedł do trumny, wyprostowany jak struna w swoim mundurze, włożył do niej figurkę, którą rzeźbił od tygodnia – małego rudzika w locie.